Bezpłatny dodatek do Nr 286 „Głosu Narodu“

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 29 Kraków, niedziela, dnia 18 października 1936 r.

IRENA TUROWSKA

W CIENIU STAREJ KASTYLII

Na łamach dzienników całego świata powtarza się dzisiaj ciągle nazwa stolicy dawnej Kastylii — Burgos. Przed kilkoma miesiącami o cichym, prowincjonalnym miasteczku, liczącym 42 tysiące mieszkańców, myślał albo historyk sztuki, ze względu na gotycką katedrę albo turysta, który w pogoni za wrażeniami wykorzystał krótki postój okrętu w porcie Santander i z Baedeckerem pod pachą ruszał koleją na Bilbao, albo autem przez grzbiety gór Kantabryjskich na podbój Burgos. Dziś wie o nim każde dziecko.

KRAJ W DRODZE DO BURGOS.

Zawrotne wiraże autostrady, wiadukty nad przepaściami ziejącymi tchnieniem śmierci, eukaliptusy — drzewa nie rzucające cienia po obu stronach drogi, dalej tylko nagie szczyty, a za garbami gór bezludzia, połacie ziemi jałowej usianej kamieniami — oto smutny, ponury i groźny krajobraz między Santander a Burgos.

Czasem na tej przestrzeni 172 km. spotyka się urozmaicenie w postaci kolosalnych zwalisk wietrzejących skał, tworzących ni to średniowieczne zamczyska, ni mury obronne poszczerbione dziesiątkami drobnych wieżyczek lub podpartych ciężkimi, przysadzistymi, basztami. Wymarzona sceneria dla błędnych rycerzy ustawiona rekoma gigantów na tle błękitu przestworzy.

W pobliżu Burgos okolica weselsza, jakieś domki pojedyńczo zagubione w bezkresach płaskowzgórza, młyn wśród wysokich topoli włoskich, wątłe zboża, samotny wiatrak, a w maleńkim ogródku usychająca z tęsknoty za afrykańskim słońcem palma-sierota.

SZKLANE I KOLOROWE DOMY.

Nagle oaza miasta lśniącego z daleka taflami szklanych domów, domów oranżerii, domów cieplarni. Na głównej ulicy Burgos przypominają się rojenia Czarusia z „Przedwiośnia“ Żeromskiego, gdyż patrzą tu na siebie niekończące się szeregi ogromnych werandowych okien, za którymi jarzą się czerwienią kwiaty pelargonij, a czasem zalotnie wychyla główkę czarnooka signorita.

Nie tylko szklane, ale i bajecznie kolorowe są murowańce Burgos, które krasą swych barw zaćmiły napewno wszystkie kamienice Rynku Starego Miasta w Warszawie.

Wąskie kręte uliczki i ta orgia nieoczekiwanych kolorów, starożytne pałace dawnych grandów Kastylii — to kulisy dawnej świetności Burgos, które jest zazwyczaj ciche i milczące.

Z DAWNEJ TRADYCJI.

Tylko raz do roku, w dzień św. Piotra i Pawła, zmartwychwstają wspomnienia przeszłości. Podczas ogromnego odpustu zaludniają Burgos tłumy przybyłych pątników z chmurnej Baskonii i z roztańczonej, śpiewnej, Andaluzji, które rankiem trwają na żarliwych modłach w katedrze, a po południu śpieszą na „corrida“, walkę byków, typowe hiszpańskie widowisko. Już w wigilię święta niezwykłe ożywienie panuje na ulicach miasta. Szczęśliwy ten, komu się udało docisnąć pod triumfalny łuk „El Arco de Santa Maria“ wznoszący się w centrum miasta, gdyż tędy rozwija się pochód masek, słynna parada nieustępująca wystawnością zapustnym korowodom weneckim.

Tuż za orkiestrą, na śnieżno-białym rumaku, w srebrzystej zbroi, dźwigając olbrzymią tarczę i miecz, jedzie rycerz, spuszczoną ma przyłbicę, zasłonięte oblicze, ale tłum go zna i wznosi okrzyki, bije brawa na cześć Cyda Campeadora, Cyda Zwycięzcy, który okryty chwałą wraca do rodzinnego grodu, by złożyć u stóp królewskiego tronu łupy na Maurach zdobyte.

Za Campeadorem w pozłocistej lektyce niesionej przez czterech giermków o bladych twarzach — siedzi córka Don Diega, hrabiego Oviedo, małżonka Zwycięzcy, Chimena, słynna z piękności, dalej poczet konnych „hidalgów“ towarzyszy Cyda, a potym z powagą, w milczeniu kroczą grandowie Hiszpanii w czarnych aksamitnych ubraniach, w koronkowych białych krezach i w kapeluszach z rozłożystymi, szerokimi rondami.

Tłum gapiów nieustannie bije brawa, i znowu, jak huragan zrywają się okrzyki, gdy w obramowaniu herbowych tarcz Gonzalezów i Diazów, pod sklepieniem triumfalnego łuku ukazuje się najpopularniejsza po Cydzie postać, kościsty wielkolud na ośle Don Kiszot, a za nim toczy się tłuścioch giermek, śmiejący się od ucha do ucha Sanczo.

Dalej na końcu pochodu wali wszelakiego rodzaju tłuszcza kuglarzy, pachołków, opojów z długimi, czerwonymi nosami, dzwoniących hałaśliwie w blaszane kubki od wina, lub brząkających w gitary. Pochód rozwiązuje się w parku, który ciągnie się wzdłuż miasta, brzegiem rzeki Arlanzonu

Wśród kramów i karuzeli znika wizja średniowiecza na zawsze, ucieleśnionego tylko... w kamieniach Burgos, w szczątkach jego murów obronnych, w dawnych pałacach, a przede wszystkim we wspaniałej gotyckiej katedrze, pod którą kamień węgielny kładł w 1221 roku król Ferdynand Święty.

CZAR KATEDRY W BURGOS.

Trzy wieki największej chwały hiszpańskiego narodu zaklęte są w mury tej świątyni, dzieła największych mistrzów sztuki zdobią przybytek, będący odzwierciedleniem najwyższej religijnej ekstazy i mistycznego zachwytu średniowiecza.

U wejścia do katedry czuwają dwie wieże wzniesione przez znakomitego Jana z Kolonii w latach 1442—1456, tak przedziwnym kunsztem, że chociaż otacza je cały legion rzeźb kamiennych wyobrażających mnichów, rycerzy, aniołów, świętych i męczenników, chociaż oplatają je łodygi skamieniałych roślin i kwiatów, to wszystko wydaje się lekkie, kruche, koronkowe. Przedziwne bogactwo form i rozrzutność kształtów powiązanych w harmonijną całość gotyku wyczarował geniusz ludzki z natchnienia Wiary.

Szara na zewnątrz, jak opończa pustelnika, wewnątrz jaśnieje katedra nieskalaną bielą i olśniewa większym jeszcze przepychem rzeźb.

Nie wiadomo, co bardziej podziwiać: czy ozdobną środkową kopułę wzniesioną na skrzyżowaniu poprzecznej nawy z główną, przez architekta z Burgos Juana de Vallejo czy marmurowe sarkofagi rycerzy i księżniczek, czy pozłociste tryptyki, czy witrażowe okna, czy drzwi bogatymi płaskorzeźbami przypominające wejście do florenckiego Baptisterium.

Wzrok błąka się bezradnie, daremnie upatrując na ścianach białych gładkiego, nie pokrytego rzeźbą miejsca i wreszcie zatrzymuje się na dziwacznej figurze, wychylającej się z okna głównej nawy nad okrągłym zegarem.

Gdy wskazówki zegara dobiegną swej godziny, niezwykły dzwonnik żelazną ręką pociąga za sznur i uderzeniami serca dzwonu odmierza czas, kiwając przy tym głową i rozdziawiając szerokie, milczące, usta. Dawniej, podobno dzwonnik-automat, przybrany w jaskrawe szaty błazna, wypowiadał jakieś sentencje ku uciesze dzieci i gawiedzi, ale jeden z biskupów, ze względu na powagę świątyni, rozkazał przerobić mechanizm wymyślony przez jakiegoś Maura i odtąd dzwonnik zastygł w niemym grymasie.

Boczne nawy katedry bardzo wysokie, długie i widne otacza wieniec kaplic, z których każda to — właściwie już wspaniały kościół, z obrazami mistrzów włoskiej i hiszpańskiej szkoły, z pomnikami fundatorów, ze stallami naprzeciw marmurowych ołtarzy.

W kaplicy konnetablów Kastylii znajduje się „Magdalena“ — dzieło podobno Leonarda da Vinci, w innej — „Święta Rodzina“ pędzla Andrea del Sarto, a za wielkim ołtarzem płaskorzeźba wyobrażająca Mękę Pańską, wykonana w alabastrze przez Filipa z Burgundii.

Nie, nie sposób wyliczyć, a cóż dopiero opisać, wszystkie dzieła sztuki znajdujące się w katedrze, która jest wspaniałym muzeum kościelnej sztuki średniowiecza i pierwszych dziesiątków lat renesansu. Najstarsza rzeźba w katedrze to niewielka, drewniana figurka, przedstawiająca Chrystusa pod słupem, w cierniowej koronie na głowie, w szkarłatnym płaszczu na ramionach, broczącego krwią.

Chrystus Frasobliwy z Burgos, ku któremu błagalnie wyciągały się przez wieki ramiona ludzi pogrążonych w modlitwie, wzrusza nawet tych, co w mrocznych labiryntach życia utracili światło Wiary; tyle bowiem tragizmu, tyle cierpienia i słodyczy zarazem przedstawił w twarzy udręczonego Boga-Człowieka nieznany artysta-rzeźbiarz.

WŚRÓD PAMIĄTEK SKARBCA.

Pojęcie o sztuce hiszpańskiej, o hiszpańskiej kulturze daje skarbiec katedralny. Tu na ścianach wiszą portrety wszystkich biskupów Burgos poczynając od XIII stulecia, w szafach mieszczą się liturgiczne szaty sprzed stuleci haftowane perłami i lite złotem, stoją kielichy i monstrancje — arcydzieła złotniczej sztuki. Z gablot wyzierają łacińskie rękopisy czernią minuskuły i majuskuły, czerwienią inicjałów, tęczami miniatur.

Na pulpicie leży przykuta łańcuchem słynna Biblia Mazarina 42 wierszowa, pierwszy druk moguncki z typografii Jana Gutenberga.

Przeciętnego turystę intryguje zazwyczaj w skarbcu podłużna, drewniana skrzynia z zamczystym skoblem, umocowana za pomocą skórzanych pasów wysoko na ścianie, żeby jej nikt nie mógł dotknąć, czy też, żeby jeszcze bardziej zdawała się tajemnicza. Kościelny za dodatkowe pesety opowiada bajeczkę o skrzyni, która jest (wedle podania) autentycznym kufrem Cyda Campeadora. Hiszpański bohater ruszając na wojnę z Maurami zamknął w niej kamienie i zardzewiałe żelaztwo, i po tym skrzynię powierzył lichwiarzowi mówiąc: „Bóg tylko i ja wiem, co się wewnątrz znajduje; daj słowo, że nie zajrzysz do wnętrza, aż zwrócę ci pieniądze, które od ciebie pożyczam, a strzeż skrzyni, jak oka w głowie“. Widocznie lichwiarz dotrzymał słowa. Skrzynia wisi nie naruszona.

OD LEGENDY DO RZECZYWISTOŚCI.

Legenda odwieczna nimbem chwały okryła Roderyka Diaz syna Diega de Bivar i żyje w ustach ludu od wieku XI, aż po dzień dzisiejszy, wielbiąc męstwo Cyda, który w pobliżu Burgos ujrzał światło dzienne, którego kości tu spoczęły.

Ze wszystkich też prowincyj Hiszpanii Kastylia najgłębiej może odzwierciedla narodowy charakter kraju, ze wszystkich najzazdrośniej strzeże tradycji, najwięcej jest do nich przywiązana.

Hiszpańska poezja nazywa ją „matką i karmicielką“, „kolebką i grobowcem“, „świątynią i grodem“, „skrzynią i spichlerzem“, „stołem i ołtarzem“. Ona wydała narodowych herosów i eremitów, konkwistadorów nieba i ziemi, dusze mistycznym ogniem rozpłomienione, jak św. Teresa, dumne jak Cyd, nieustraszone i żądne wrażeń, jak towarzysze genueńczyka Kolumba, odkrywcy Nowego Świata; ona dziś, na przełomie dwóch epok, wskrzesza rycerską tradycję w czynach obrońców Alkazaru, „kadetów śmierci“.

W cieniu starej Kastylii tętni źródło życia, w maleńkim Burgos bije serce Hiszpanii, która walczy i zwycięża w imię narodowych i wieczystych ideałów ducha.

FRANCIS BRETT YOUNG

TRZY WSPOMNIENIA

Gdy myślą biegnę w dni piękne, pogodne,
Dane mi dawno przez jasne Południe,
Myśl ta jest zawsze cicha i łagodna,
A uśmiech w sercu rozkwita tak cudnie.
Dziś trzy wspomnienia tulą moją duszę,
Pełną przepięknych, ciepłych, miłych wzruszeń...

Zapach: przez gąszcze dębów i jesionów,
Gdzie leśne drogi oblepiają błota,
Woń bije w nozdrza, niby dźwięki dzwonów,
Mówiących słońcu, że piękne i złote.
Wśród dymu, który buja nad ogniskiem,
Szczęście wydaje się łatwem i bliskiem...

Dźwięk: w ciszy rzewnej, natchnionej, wieczornej,
Która jest jakby posrebrzanym zmierzchem,
A niby echo modlitwy klasztornej,
Biegnie głos, poprzez martwe, szarawe, powietrze.
To ptaki, które, jak ludzie, tak samo
Mówią nawzajem cichutkie: dobranoc!...

Widok: gdzie olchy rzucają swe cienie
Nad taflą ciemnej i ponurej wody,
Błysnął na moment, jakgdyby marzenie,
Ptak-zimorodek, dumny ze swobody,
I zachwyciwszy skrzydeł swych błękitem,
Zniknął w mgle z gazy srebrzystej uwitej...

Kiedy wspominam te dni, tak szczęśliwe,
Południowego cud wspaniały nieba,
Te trzy wspomnienia urocze i tkliwe
Mówią wyraźnie, czego to potrzeba,
Ażeby dobrze mi na świecie było
I — żeby serce nigdy nie tęskniło...

Z angielskiego tłumaczyła
Wanda Hoserowa.

Dr MARIA OSTROWSKA

Ideologia południowo-słowiańskich powieści T. T. Jeża

Grupa powieści Jeża, o osnowie zaczerpniętej z dziejów innych, niż polski, narodów, ma stale za główny motyw zmagania się niepodległościowe. Walka o niezależny byt państwowy nadaje zasadniczy ton romansom na tle historii Bułgarii czy Serbii, Węgier lub Albanii. Ton patriotyzmu przewija się, jak nić purpurowa, przez jego południowo-słowiańskie utwory. Powieści te, z których sporo przetłumaczono na języki Słowian połud., przeznaczone były w pierwszym rzędzie dla polskich czytelników i pisane z myślą o Polsce. Analogia jej z losem ujarzmionej przez Turków Słowiańszczyzny nasuwała się przemożnie. Autor podkreślał ją w miarę możliwości, korzystając ze względnie wolnej ręki w wypisywaniu się na temat walk o niepodległość. heroizmu narodu i jednostek, jaką mu pozostawiała czujna cenzura państw zaborczych na niwie tych właśnie romansów. — Wszakże pisał on nie o Polsce. Historia „Wallenroda“ powtórzyła się znowu w dziejach literatury porozbiorowej. Szczytny patriotyzm przepełnia karty powieści Jeża z dziejów Słowiańszczyzny południowej. Każde ich słowo dyszy żądzą niepodległości, każdy czyn cechuje ofiarność, prywata usuwa się w cień przed obowiązkiem publicznym. Nie tutaj miejsce zajmować się wszystkimi, z zasobnego ich pocztu wybierze się momenty i zagadnienia najznamienniejsze, niejako emanację ideową pełnego cyklu powieściowego o wysokich walorach artystycznych.

WZNIOSŁY TRAGIZM „USKOKÓW“.

Najszerszy rozgłos zyskały „Uskoki“. Powieść ta postawiła odrazu Jeża w rzędzie najznakomitszych ówczesnych powieściopisarzy polskich (1870 r.) i doczekała się tłumaczeń na wszystkie niemal języki europejskie.

Jak zwykle u Jeża, motywy akcji patriotyczno-społecznej górują ilościowo nad romansowymi i wzajemnie się zbijają. — Nad wszystkim jednak góruje wzniosła postać Miłosza Widulicza z prologu „Uskoków“; wielki cień pada od niej na całą powieść i poddaje jej ton zasadniczy. Tragizm w czystej postaci cechuje duchową walkę Miłosza z baszą — renegatem Sokoliczem. Reprezentują oni dwie idee. Każdy z nich ma ze swego punktu widzenia słuszność, aczkolwiek cała nasza sympatia znajduje się po stronie Miłosza. Występuje on bowiem w imię idei narodowo-chrześcijańskiej ludu podbitego, przypominającego nam Polskę porozbiorową. Basza ma za sobą rację stanu państwa ottomańskiego, którego przybranym członkiem został. Małoznaczny wieśniak bośniacki urasta na bohatera przez wielkość duszy, świadomej doniosłości sprawy, dla jakiej się poświęca, i trwa niezłomnie przy jej świętym sztandarze, mimo znajomości konsekwencyj, spowodowanych podobną opornością. Podobna stałość okupiona być musi walką nie tylko z wrogiem zewnętrznym, lecz przede wszystkim z własną duszą, z instynktem życiowym człowieka, broniącym się rozpaczliwie przed unicestwieniem. Miłosz wznosi się ponad śmierć kosztem tragicznej rozterki, gdy go w ohydnym więzieniu łudzą wolnością za odstępstwo. — Z heroizmem, ale z męką straszliwą odtrąca pokusę, moment zaś jemu tylko wiadomej słabości duchowej nie umniejsza w niczym jego wielkości, czyni go naturalniejszym i droższym. Miary tragicznej wzniosłości dopełnia jego zgon. Pewną tragiczną ulgę sprawia świadomość żywotności idei, dla której bohater umiera i jej zwycięstwo ostateczne. Siwy włos konającego na polu Miłosza stanie się drogowskazem życiowym jego syna. Dżordża, i poprowadzi go drogą ofiary i wyrzeczeń do zwycięstwa nad Turkami.

POWIEŚĆ, KTÓREJ BOHATERKĄ OJCZYZNA.

Obok „Uskoków“ śmiało stanąć może pod względem ideowym i estetycznym „Dachijszczyzna“, gdzie w całej pełni prze jawiła się Miłkowskiego „religia ojczyzny“. według określenia prof. Zdziechowskiego. Za tło historyczne posłużył Jeżowi przełom XVIII i XIX w., kiedy to po łagodniejszym kursie polityki tureckiej względem Serbów kamaryla dworska przywróciła znienawidzone „dachije“, czyli osady janczarskie w Serbii, ku ogromnemu rozgoryczeniu ludności i rozumniejszych dostojników tureckich, widzących słusznie w tym nieszczęśliwym posunięciu początek końca panowania Turcji na Słowaczyźnie. Istotnie; straszliwe represje janczarów nad ludem serbskim spowodowały wybuch powstania przeciw Turkom, pod wodzą słynnego Karadżordża. Przygotowali mu teren do działania także wędrowni ślepcy-lirnicy. Doradzali oni alegorycznym sposobem, aby naród serbski nie był jak owe barany, co zawierają przymierze z rzeźnikiem przeciw drugiemu rzeźnikowi. Radzili wierzyć we własne siły i strzec się kompromisu. Całym sercem godzi się z nimi Jeż. Wypowiada się on głównie przez usta starego Radiwoja Raicza z Trstnicy. Radiwoj wyszedł kaleką ze straszliwego pogromu, jaki Turcy przed laty urządzili; ma przeto niesłychane zachowanie u swoich, podniesione autorytetem cierpienia za sprawę Serbii. Jakby języczkiem u wagi, na której ważą się losy dwu narodów, jest Kulin-Kapetan Sokolicz, poturczony Serb. Przywiązana do jego miecza legenda pozostaje w ścisłym związku z niepodległością Serbii. Wzięcie udziału w walce po serbskiej lub tureckiej stronie uzależnia Kulin od rezultatu swych starań o rękę córki Radiwoja, Milicy. Odmowa rzuca go na stronę turecką i zaloty jego kończą się również tragicznie, jak kozackie posunięcie Bohuna do Heleny i jego dzika pomsta. Sokolicz napada na wieś, pragnie porwać Milicę, lecz staje oko w oko z jej ojcem. Pojedynek ich należy do dramatyczniejszych scen w literaturze polskiej.

POJEDYNEK IDEI WOLNOŚCI Z IDEĄ PRZEMOCY.

Obydwaj przeciwnicy urastają do wielkości symbolów, stają się przedstawicielami dwóch walczących idei. Radiwoj reprezentuje nieskalany patriotyzm i godność obywatela, mającego prawo i słuszność za sobą, oraz piastującego w swej duszy wyższą, posłanniczą ideologię, niedostępną dla Sokolicza, wcielenia gwałtu, przemocy, despotyzmu, opartego o ideologię materialistyczną. Występuje tu antynomia idei, nie walka ludzi; ta ostatnia z góry musi być przesądzona z powodu rażącej nierówności sił i środków obu walczących. Sytuacja i jej podłoże ideowe przeniosły się w kilkadziesiąt lat po ukazaniu się „Dachijszczyzny“ do polskiego dworu kresowego (Żeromski, „Ponad śnieg“), gdzie polska myśl obywatelska oblecze wątłe, moskiewskimi kulami poszarpane członki Wika Rudomskiego, staczającego „bój myśli i szermierkę słowa“ z bolszewickim komisarzem, reprezentantem czerwonej, niewolę niosącej, Rosji. Podobnie jak Radiwoj staje Wiko bohatersko przeciw karabinom bolszewickim. Za jedyną broń służy mu szczudło kaleki. Obydwaj ulegli fizycznie przemocy. Nie sceny batalistyczne i nawet nie triumf Serbów stanowi szczytowy punkt zmagań serbsko-tureckich w „Dachijszczyźnie“. — Ogniskuje się on w tej właśnie wzniosłej i silnej scenie pojedynku Kulin-Kapetana z Radiwojem. Zwycięstwo serbskie, zarazem zwycięstwo myśli niepodległościowej w ogóle, jest realizacją idei Radiwoja, niejako już procesem wtórnym, stwierdzeniem jej słuszności i wytyczeniem drogi dla narodów, walczących o wolność.

JEŻ OJCEM POLSKIEJ POWIEŚCI EGZOTYCZNEJ.

Południowo-słowiańskie powieści Jeża zajęły we współczesnym mu romansopisarstwie polskim odrębne stanowisko. Bez cienia przesady stwierdzić można, że Jeż stworzył polską powieść egzotyczną, obejmującą mało wówczas znany Półwysep Bałkański i bliski Wschód. Wśród morza powieści, obracających się w kręgu zagadnień i tematów wyłącznie polskich, egzotyczna twórczość Jeża wystrzeliła jak piękny, osobliwy kwiat, nęcący bogactwem barw i niezwykłością woni, przykuwający urokiem nowości. Przed polską powieścią otwarły się nowe horyzonty, ukazały nowe możliwości. Ze wszech miar udany wysiłek Jeża mógł zachęcić naszych autorów do konkwistadorskiego sięgania po nieznane zdobycze. Można postawić Jeża obok Sieroszewskiego. Pierwszy odkrył dla literatury polskiej świat Serbów, Chorwatów, Bułgarów, Arnautów, Turków, Tatarów, Rumunów itd.; drugi odsłonił smutne, człowiecze oblicze półdzikich ludów syberyjskich, oraz zadumaną tajemniczą twarz synów Dalekiego Wschodu, z państwa smoka i kwitnącej wiśni. Jeż i Sieroszewski opierają swe dzieła na gruntownej znajomości krajów i ludzi. Obydwaj odznaczają się wrażliwością na piękno przyrody, u obydwu jednak góruje człowiek. Czującym sercem ogarniają aktorów dramatów i tragedyj, rozgrywających się w cieniu bukowych lasów Bałkanu lub na tajgach Północy, czy też u podnóża Fudżijamy. Z najpierwotniejszych natur potrafią wykrzesać iskrę człowieczeństwa, w najbardziej zaniedbanych moralnie jednostkach odkrywają wątłą płonkę dobrych instynktów, aczkolwiek przytłumioną charakterem złych naleciałości. U obu znajdziemy serdeczne współczucie dla słabych i pokrzywdzonych i potępienie ich ciemiężycieli, pozbawione jednak fanatyzmu nienawiści: u obu wreszcie goreje przejasnym płomieniem miłość ojczyzny, przeświecająca swym blaskiem całą ich twórczość.

Najrzadsza moneta na świecie

W związku z odbywającym się międzynarodowym kongresem numizmatyki w Londynie urządzono wystawę najcenniejszych i najrzadszych monet świata. Unikatem tej wystawy jest moneta z Syrakuz, sporządzona ze srebra. Moneta ta, która zawiera srebra wartości około jednego zł. posiada wartość numizmatyczną, dochodzącą do około 400.000 złotych.

Chiński „Alkazar“ przed 9 wiekami

Wypadki rozgrywają się w 1000 roku w Chinach. Opowiadanie o nich przetłómaczone jest z chińskiego i dotyczy obrony miasta Lu-Ngan-Czou, którego pięciotysięczna załoga stawiała przez 5 miesięcy opór nawale 500 tysięcy Tatarów, przybyłych z północy. Władca Tatarów, który postanowił rozbić cesarstwo chińskie, rządzone wówczas przez dynastię Sung, wysłał swego syna, księcia Wu-Szu, z 500.000 wybranych wojowników z kilku doświadczonymi wodzami. — Opowiadanie opiera się na historycznych faktach, zakończenie jednak potomni ubrali legendą.

Po czterech tygodniach wojsko dotarło do północnej granicy Chin w pobliżu miasta Lu-Ngan-Czou. — Osiedle to było graniczną twierdzą i broniło przełęczy górskiej. Dowódcą załogi, liczącej 5.000 ludzi, był Lu Deng, dzielny i zasłużony generał dynastii Sung. Pewnego dnia, kiedy przewodniczył on ważnym obradom, na salę wpadł goniec z wieścią, że od północy nadciąga olbrzymia horda Tatarów, którzy zdołali już zająć dużą część granicznej prowincji. Lu Deng „zjadł wielkie przerażenie“ (przestraszył się), rozwiązał konferencję i wydał natychmiast szereg obronnych zarządzeń: „Ustanawia się ceny artykułów spożywczych. Wszystkie naczynia muszą być zgromadzone pod wałem, otaczającym miasto. Do naprawy wałów i murów muszą przystąpić wszyscy cieśle, murarze i kamieniarze. Kobiety mają znieść beczki, w których należy trzymać w pogotowiu gnojówkę. Pod kotłami, ustawionymi w pobliżu wału i napełnionymi gnojówką ma się ustawicznie palić, by w razie potrzeby można było lać na głowy ten cuchnący wrzątek“.

Według rozkazu zabrano się odrazu do roboty. Lu Deng sam pilnował, by nikt się nie lenił. Ujścia kanałów zastawiono olbrzymimi i ciężkimi stawidłami, by nieprzyjaciel nie mógł przekraść się w nocy podziemnymi otworami. Ze skarbca wydobyto miedź i żelazo, z których kuto w pośpiechu dzidy i długie żerdzie, opatrzone na końcach hakami. Na nie zarzucono długie i mocne sieci. Następnie Lu Deng wystosował do cesarza w Pekinie raport o sytuacji, prosząc w liście o szybką pomoc. Przez pospiesznych posłańców zwrócił się również o posiłki do generała Han-Sze-Czun w mieście Lian-Lang-Kuan i do generała Czan-Szu-Je w Ho-Kjen-Fu. Do tych trzech wysłano do każdego po trzech posłańców i to różnymi drogami, by zapewnić dotarcie listów do przeznaczonych celów. Posłańcy opuścili miasto we mgle nocnej.

Tym czasem Tatarzy podeszli już do miasta na tyle, że można ich było doskonale rozpoznać. Z ciekawością i trwogą obserwował ich z murów Lu Deng. Niosło od nich wonią owiec. Nóg ludzi i koni nie było widać, gdyż zakrywała je kurzawa piasku. Dolatywał coraz wyraźniej wrzask, zmieszany z rżeniem koni, gwizdem i dźwiękiem trąbek. Była to masa wojska rzeczywiście niebezpieczna i groźna dla miasta.

* * *

Naczelny wódz Tatarów Wu-Szu rozkazał jednemu z najlepszych swych generałów Dżi-Wen-Dżi przygotować drabiny i przypuścić szturm do twierdzy z pięcioma tysiącami żołnierzy. Wu-Szu sam dowodził następnym oddziałem bezpośrednio za szturmowym. — Dżi-Wen-Dża przeprawił się ze swoimi ludźmi przez głęboką fosę przy pomocy zbitych na prędce tratw, przystawił drabiny do murów i wydał rozkaz szturmu. Na blankach nie było widać nikogo. Przypuszczał więc, że uda mu się zaskoczyć obleżonych. W momencie jednak, kiedy pierwsi szturmujący wdrapali się na mur i chcieli zeskoczyć na drugą stronę. — rozległ się nagle armatni strzał, a tuż po nim lunęły z murów strugi wrzącej jeszcze gnojówki i posypały się kamienie, które zdruzgotały wszystkie drabiny wraz z ludźmi znajdującymi się na nich. Kto nie odniósł rany w górze, ten łamał ręce i nogi na ziemi po upadku z drabiny. Pierwsza więc próba nocnego ataku zawiodła zupełnie.

Za radą generała Ha Mi-Cze postanowiono przypuścić ponowny szturm wczesnym rankiem. I znowu pięć tysięcy Tatarów przedostało się przez fosę, podstawiło drabiny ostrożnie i ruszyło w górę, gdzie nadal panowała złowroga cisza. Powtórzył się dokładnie przebieg pierwszego ataku. Znowu strzał i bohaterska obrona obleżonych. Tym razem z 5 tysięcy wojowników nie powrócił cało ani jeden. Wu-Szu przeraził się tym wynikiem i rozpoczął śledztwo. Okazało się, że obleżeni wyrzucili na długich żerdziach sieci w dół i oplątali nimi wdzierających się przy pomocy drabin. Zniszczenia dokonały głazy i pociski strącane z góry.

Obleżenie przeciągało się już 40 dni i Wu-Szu zniecierpliwił się w końcu. Ha Mi-Cze, który namówił swego władcę Wu-Szu do obleżenia grodu, starał się znaleźć dla niego jakąś rozrywkę, by zapomniał o niepowodzeniu. Pewnego razu namówił go na polowanie. W otoczeniu licznej służby, psów i sokołów wyruszyli do pobliskiego lasu. Nagle kilku dworzan zauważyło w zaroślach ukrywającego się Chińczyka, który na ich widok usiłował zbiec. Złapano go jednak i przyprowadzono do obozu, gdzie został oskarżony o szpiegostwo. Wstępne dochodzenie nie dostarczyło dowodów jego winy i już miano go zwolnić, gdy wtem jednego z obecnych generałów zainteresował modlitewnik, znaleziony przy pojmanym. Przejrzano go dokładniej i między pierwszymi okładkowymi zwojami znaleziono list generała Han-Sze-Czuna do Lu Denga z zawiadomieniem, że obleżonemu miastu spieszy z odsieczą generał Da Suin-Hau, który doradzał tak długo opierać się szturmom, aż nadejdą większe oddziały wojska ściągnięte z głębi kraju. Oprócz tego radzono Lu Dengowi, by nie czynił wypadów z twierdzy, nawet gdyby walka toczyła się w pobliżu.

Wu-Szu polecił sfałszować ten list. Poprostu zamiast niego napisano inny, w którym polecono Lu Dengowi, by zrobił wypad i zaatakował tyły nieprzyjaciela, gdy oddziały spieszące z odsieczą rozpoczną bitwę. Wu-Szu przypuszczał, że wtedy właśnie wtargnie znienacka do miasta i zajmie je bez wysiłku.

Po napisaniu listu poczęto myśleć, kto ma go zanieść do twierdzy. Mimo dwukrotnego zapytania Wu-Szu, nikt nie zgłosił się na ochotnika. Wreszcie wystąpił Ha Mi-Cze i oświadczył, że on podejmie się tej niebezpiecznej misji, lecz prosił tylko, by Wu-Szu zajął się jego rodziną, gdyby wyprawa się nie udała.

Ha Mi-Cze przebrał się w strój chiński, dotarł pod bramy warowni i tam zawołał do strażników, że przekradł się z ważną wiadomością. Nad bramą po długiej chwili otwarto okienko, wyrzucono kosz na linie i wciągnięto następnie wraz z Ha Mi-Cze.

Dr Marian Gotkiewicz — **Na słowackiej Orawie**

O Hviezdosławie

Lipnica, Lipnica
To piykne miastecko,
Za mojom Lipnicom
Zachodzi słónecko...

Polskie pieśni rozbrzmiewają nad orawskimi dziedzinami u stóp Pilska i Babiej Góry.

Ale już od Namiestowa i Trsteny Orawa jest krainą czysto słowacką. Wydała tak wielu znakomitych słowackich działaczy społecznych i narodowych, jak gdyby na 1630 km. kw. tej „chudej" ziemi mieszkało nie 65 tys. przeważnie rolniczej i ubogiej ludności, ale jakaś milionowa rzesza.

Orawa dała Słowacji księdza Antoniego Bernolaka (ur. w Slanicy w 1762 roku), autora wydanej w 1787 r. „Dissertatio filologico-critica", która to rozprawa stała się fundamentem rozwoju literatury słowackiej, pozostającej przedtem pod wyłącznym wpływem czeszczyzny.

Z Kubina pochodził ks. Andrzej Radliński, redaktor „Slovenskich Novin", wydawanych w Wiedniu, autor „Slovenskiego Pravopisu" i reformator pisowni słowackiej. Z Jasienicy pochodził Marcin Hamuljak (1789 †1859), założyciel „Związku miłośników mowy i literatury słowackiej" w Budapeszcie (w 1832 r.). W Namiestowie działali na stanowiskach adwokatów: Michał Mudroń, August Rath oraz dwaj wielcy poeci Svetozar Hurban Vajansky i Paweł Orszagh Hviezdoslav.

Z żyjących wymienię tylko tłumacza polskich powieści Jana Dafczika z Twardoszyna, następnie sędziwego senatora Kovalika Ustiańskiego z Ustia, autora poematu „Baj Tatier", wreszcie najgłośniejszego z młodej generacji Mila Urbana (ur. 1904 roku), którego powieść „Żywy bicz" przetłumaczona na kilkanaście języków ukaże się wkrótce także i na naszych półkach księgarskich w tłumaczeniu p. Brosza.

Dużą aktywnością na polu działalności literackiej i społecznej poszczycić się może Dolny Kubin. Główne to miasto Orawy, liczące zaledwie kilka tysięcy mieszkańców, posiada bogatą bibliotekę, ufundowaną przez Vavra Czaplovicza (1778 †1853) pochodzącego z sąsiedniej Jasenowej. W tejże samej Jasenowej urodził się Maciej Bencur, wzbogacający pod pseudonimem „Marcin Kukuczin" (1860 †1928) literaturę ojczystą znakomitymi powieściami. Wodzem słowackich abstynentów, znanym także z pracy dziennikarskiej, jest ewangelicki proboszcz w Dolnym Kubinie, Andrzej Deveczka. Prócz niego mieszka w tym mieście lekarz Jégé (Wład. Nadaszi ur. 1866 r.), autor wielu historycznych powieści, a w pobliskiej Wielicznej ks. Grebacz-Orlov, tłumacz „Chłopów" Reymonta. Trudno tu nie wspomnieć także o dolnokubińskim proboszczu Józefie Kohucie, zasłużonym zbieraczu dokumentów historycznych i dziejopisarzu Orawy.

Ale największą dumą Orawy jest Paweł Orszagh Hviezdosław z Górnego Kubina (ur. 1849 †1919 r.), którego pomnik zostanie odsłonięty w Dolnym Kubinie, dnia 18 b. m.

Nie mam zamiaru pisać biografii tego wielkiego poety, chcę tylko podkreślić niektóre momenty jego życia i twórczości.

Znalazł on uzupełnienie swego „ja" w małżonce swej Ilonie Hviezdosławowej. — W pośmiertnej spuściźnie poety pozostał nieopublikowany wierszyk wyrażający jego uczucie dla żony.

Tyś mego życia gwiazda,
Tyś mego życia kwiat,
Jak kwiatek, kwitnij-że mi kwitnij
Jak gwiazda świećże ty mi, świeć.

Boję się o Ciebie, o gwiazdę,
Boję się o Ciebie, o kwiat;
Bo idą już ciemne chmury
I jesień przyjdzie wnet...

Żywot tych dwojga kochających się dusz upływał w samotności w Namiestowie i Dolnym Kubinie, gdzie poeta sprawował urząd adwokata. Cichą tragedią ich było, że nie mieli dzieci... A Hviezdosław tak dzieci kochał. Pisał dziatwie słowackiej:

„Masz licem rumieniec, jakim błyska zorza
W oczach twych blaski — pierwsze słońca strzały
Masz w duszy błękit, gdzie chmura nie zbłądzi
Pył kwiatu na wargach, miód — pieśń samorodną...

Gdy przed kilku laty chór dzieci krakowskich stanął przed czcigodną panią Hviezdosławową, cytat ten wywołał łzy w oczach dostojnej wdowy.

Kwiaty pielęgnowane jej dłonią na ogrodowych grządkach zdawały się mówić:

„O, kvety maju srdcia, maju dusze za lasku vedia laskou diakovat' skor nežli ludia..."

W dali ponad dachami domów błękitniał piramidalny Chocz, u stóp którego ujrzał poeta światło dzienne.

„Koliska moja w chalupke len stała, i to len v kutku niebotycznych Tatier, pod dumnym Choczom, dolinka kde ticha".

Chocz był niegdyś drogowskazem dla młodego Hviezdosława, spieszącego z dalekich szkół do rodzinnego domu; Chocz stał się później w jego utworach wielkim symbolem narodowym:

„Wiedzcie, dzieci:
Te wierchy tam, to waszej ziemi mety,
to miedze wasze! Dokąd sterczą w górze
jak straż, — to dotąd wróg wam ziemi nie zaorze...
Jak wy, tak niechaj czczą je wasze dzieci"...

Gdy nad górami świeciło słońce, serce poety pełne było radości a dusza jego stroiła się do pieśni wesela, harmonizując z całą przyrodą:

„Len jeden pokyn, zaszum leśny,
len jeden horskej riavy skok
a dusza uż sa ladi k' piešni...
Kol vszetko v speve, gruń i laz,
haluzky jak by boly smytce.
Kam kroczisz mysel prijme jas
a dusza krydla od sokola."

Ale gdy szronem pokryły się wierchy, kiedy po pierwszym mrozie w noc bezwietrzną spłynęło na ziemię krwawo złote listowie buczyny, poeta szedł nad brzegi Orawy posłuchać jak się fale żalą:

„Jak smutnie szumi Orawienka nasza...
Dlaczego szumi, czemu wzdycha zaś?...
Ach wiem: owieczki zeszły ze szałasa
Zamilknął gaj i łaz"...

Były to smutne chwile nie tylko dla poety ale i dla całego jego narodu. Wówczas poeta marzył o wiośnie i wieszczył narodowi swemu lepszą przyszłość, lub podnosił na duchu rodaków wspomnieniami wielkiej przeszłości.

Rozrywki umysłowe Nr 29

Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

ZADANIE 6 — REBUS.

„Kasta" — czł. Kl. Szar.



ZADANIE 7 — SZARADA.

John Ly — czł. Kl. Szar.

Duch w nim nie mały, nie **raz-trzeci**,
chociaż pokory blaskiem świeci.

Żywota jego **pierwsza-czwarta**
spisana pracą, co ma czarta
zwalczać na ziemi i wieść drogą,
której **dwa-czwarta** i cel w Bogu.
Cały trzy sługa Chrystusowy
służący czynem Mu i słowy...

ZADANIE 8 — SKAKANKA.

„Anerg".

Należy niżej podane sylaby odczytać, przeskakując przez pewną ilość sylab, aby otrzymać w rozwiązaniu czterowiersz Z. Krasińskiego.

Sylaby: niech, szą, wszę, wo, wa, was; że; dzie; ła; szej; dar; dziś; z, wa, czyn, mo, pod, wia, sza, wasz, nie, łość, ry, z; bę; prze; gó; wa; wo; dzie, stra, rą, szej, li.

ZADANIE 9 — SZARADA

NA WSCHODZIE.

„Kasta" — czł. Kl. Szar.

Niezręczna **druga-trzecia** Brytów
z przyrzeczeniami czasu wojny
lud podniecıła niespokojny
do **Czwór-pięć-pięć-trzeciego** szczytu.

Raz-szóstych, widać, mają dosyć,
chcą, by nadeszła **raz wspak-czwarta**
arabskich wpływów, i zażarta
ruchawka żąda, zamiast prosić.

Wtór-czwarta rządów w swojej chacie
z **pięć-szóstych** — bohaterów czyni...
Całość harcuje w Palestynie
i biwakuje... na mandacie.

ZADANIE 10 — SZARADKA.

„Andrus".

Bywają ludzie **pierwsi-trzeci-drudzy** tacy,
między **dwa-raz** się łatwo znalezć może **cały**
by **trzy** chwycić, całą resztę zaprzęgnąć do pracy.
Gdzie mnie tam do nich. Jam andrus i piszę kawały.
Jeśli się kawał uda, to czas miło zleci,
A ja się wówczas czuję, jak jaki **raz-trzeci**.

SPROSTOWANIE: W szaradzie 2 z konkursu rocznicowego (Nr. 20 dodatku), nastąpiła omyłka w interpunkcji, co zmieniło sens wiersza; wobec tego podajemy całą zwrotkę we właściwej formie:

II strofka:

To **pięć-dwunasta** napaść przeszła front
w dźwięczących **pierwszych** i **drugich** koronie.
Z nią Śmierć-**Raz-piąty**, niewiadomo skąd
przez **siódme-ósme-trzecie** sieje swą...
A wokół ziemia płonie!

— ✱ —

który usadowił się we wnętrzu. W twierdzy stawiono go odrazu przed oblicze Lu Denga. Ten zaczął wypytywać przybysza, skąd przekradł się, kiedy, w jaki sposób i czy ma jakieś listy. Ha Mi-Cze dawał odpowiedzi jasne, wreszcie wręczył Lu Dengowi list z odpowiednim wyjaśnieniem. Lu Deng nie wyzbył się jednak odrazu niedowierzania.

Znowu rozpoczął indagacje: „Ponieważ ty służysz generałowi Han w Lian-Lang-Kuanie, przeto musisz dobrze wiedzieć, kiedy on został mianowany generałem-gubernatorem"?

Ha Mi-Cze odparł spokojnie: „Z moim panem nikt z żyjących nie może się mierzyć. Poprzednio był on dowódcą pięciu oddziałów, obecnie jest generałem, lecz jeszcze nie został mianowany gubernatorem".

Lu Deng znowu zapytał:: „A z jakich sfer pochodzi generał Han?"

Ha Mi-Cze skłonił się głęboko i rzekł: „Wiem, lecz nie mogę tej sprawy poruszać". (gen. Han pochodził z ludu i posłaniec nie chciał o tym mówić przed zgromadzoną załogą).

Lu Deng zadał mu jeszcze kilka pytań; z odpowiedzi na nie był widocznie zadowolony, gdyż odprawił posłańca do kuchni, by wypoczął, sam zaś sprawdził pieczęcie na liście, oderwał je i zapoznał się z treścią. Bardzo dziwnymi wydały mu się rady tam zawarte. Przeczytał list jeszcze raz dokładnie, oglądał dobrze pismo, jednak nic nie znalazł podejrzanego.

Nagle rozległ się bek, jakgdyby owcy. Lu Denk zdziwiony, że w kuchni chcą tak dobrze ugościć posłańca, zawezwał kucharza. Ten atoli odparł, że w całym mieście nie ma ani jednej owcy. Lu Dengowi zaświtała wtedy w głowie jedna myśl: posłaniec był szpiegiem i naśladując bek owcy dał znak wrogowi, że polecenie wykonał. Wziął do rąk jeszcze raz list, i zbliżył do oczu i roześmiał się z zadowoleniem. List czuć było wonią owiec. Był więc w rękach wrogów Tatarów. Kazał zawezwać posłańca, a gdy go doprowadzono, Lu Deng otwarcie i krótko oświadczył mu, co o nim myśli i jakie ma dowody. Ha Mi-Cze nie przeczył; tylko na swoje usprawiedliwienie dodał, że w wojnie wszystkie środki walki są dopuszczalne. Lu Deng pochwalił taki jego pogląd i zaznaczył: „Nie obawiam się ciebie, ale chciałbym, byśmy mogli na drugi raz rozpoznać się od razu". Po tych słowach, ukrywających groźbę, przywołał kucharza i rozkazał mu odciąć szpiegowi nos. Tak naznaczonego „posłańca" wypuszczono z twierdzy.

Wu-Szu, gdy zobaczył swego generała tak szpetnie okaleczonego, dostał ataku wściekłości. Jeszcze tej samej nocy wydał rozkaz szturmu. Czujni obrońcy odparli go łatwo. Lu Deng, jak się okazało zawczasu polecił rozrzucić sieci w rowach i fosach, w które wpadali atakujący. Sieci wciągano następnie w górę i zabijano trzepocących się w nich nieprzyjaciół. Dowiedziawszy się o tym Wu-Szu zorganizował drugi napad i sam objął dowództwo. Gdy dobiegł na czele wybranych wojowników do fosy, przeciął sieć, podkradł się z oddziałem do bramy i przypuścił tak gwałtowny szturm, że musiała mu ulec załoga broniąca się w baszcie. Przez bramę wdarły się nowe oddziały Tatarów. Na nieszczęście Lu Deng po pierwszym odpartym napadzie udał się do sali obrad, by tam zastanowić się z wybitnymi wojownikami nad dalszą sytuacją. Wtem wbiegł do sali przerażony żołnierz z okrzykiem, że nieprzyjaciel wdarł się już do twierdzy, Lu Deng zrozumiał, że wszelki opór jest daremny. Udał się do swych pokojów i tam oświadczył żonie, by się przygotowała na śmierć. Dzielna małżonka oddała pod opiekę małego synka piastunce, pożegnała się z mężem i wyszła do drugiego pokoju, gdzie popełniła samobójstwo. Lu Deng zapłakał chwilę nad zwłokami, a następnie wbił sobie w pierś miecz. Ciało mimo, że z niego uszło życie, pozostało w pozycji stojącej. Tym czasem służba rozbiegła się w popłochu, a również piastunka usiłowała schronić się z dzieckiem na ręku w bezpieczne miejsce.

W kilka chwil później wdarł się do pałacu Wu-Szu z toporem w rękach i gotowy do boju wpadł na salę. Nagle przez otwarte dalsze podwoje dostrzegł stojącego Lu Denga. Wydał okrzyk wojenny, skoczył ku niemu bliżej, lecz naraz stanął, jak wryty. Miał przecież przed sobą stojącego trupa. Wu-Szu nie był przesądnym, jak Chińczycy, niemniej zastanowił się nad pozycją martwego wroga. Musiało to mieć jakieś znaczenie. Po krótkim namyśle odezwał się do niego:

„Lu Deng, dlaczego ty właściwie jeszcze po śmierci trwasz w postawie gotowej do boju? Czy obawiasz się, że splądruję i spalę ci miasto? Jeśli ta obawa trzyma cię tak prosto, to chętnie przyjdę ci z pomocą".

Przywołał swego przybocznego oficera i wydał mu rozkaz, by oszczędzano życie i mienie mieszkańców zdobytej twierdzy. Następnie zwrócił się znowu do Lu Denga:

„Widzisz więc, twoje życzenie jest spełnione".

Ponieważ trup stał nadal, Wu-Szu zastanowił się i rzekł:

„Żona twoja leży martwa u nóg. Prawdopodobnie uprzedziła cię w samobójstwie. Sprawię przeto nie tylko tobie, lecz także i jej odpowiedni pogrzeb, a na grobowcu każę wyryć napis, który będzie głosił, że pod nim spoczywa para bohaterów".

Lu Deng trzymał się mimo to w dalszym ciągu prosto. Wu-Szu zaś walczył z troską, jakie by mogło być jeszcze życzenie zmarłego. Wtem wszedł do sali żołnierz wlokąc za sobą piastunkę z dzieckiem. Kobieta padła na kolana przed Wu-Szu i wyznała, że zmarła żona Lu Denga pozostawiła jej synka z poleceniem, by go wychowała na dzielnego mężczyznę. Wu-Szu na widok niemowlęcia, które straciło nagle rodziców, zapłakał ze wzruszenia i rzekł do zmarłego:

„Lu Deng, teraz wiem dlaczego stoisz. Obawiasz się, że stracisz jedynego syna. Chętnie spełnię i to twoje życzenie. Zabiorę wraz z piastunką twego synka i wychowam go jak własne dziecko. A gdy już podrośnie, opowiem mu o dzielnym ojcu i dopomogę, by wrócił do swych rodzinnych stron i złożył ci należną ofiarę".

Skoro tylko Wu-Szu skończył te słowa Lu Deng runął na ziemię. Wu-Szu polecił pogrzebać wroga wraz z małżonką na przełęczy górskiej i wystawić im wspaniały pomnik.

Dopiero wtedy ruszył w dalszą drogę i przystąpił do oblężenia miasta Lian-Lang-Kuan.

KUPON Nr 29.

ważny do dnia 15 XI b. r.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Hiszpańska wojna domowa przeciąga się a jej przeciąganie się stanowi nieustanne niebezpieczeństwo dla pokoju świata. Zdaje się czasem, że już nie wiele potrzeba, by pożar szalejący w Hiszpanii przerzucił się na inne kraje. Wszędzie są zwolennicy „czerwonych wojsk" hiszpańskich, życzący im zwycięstwa. Także u nas... Tylko jedno is — przynajmniej szlachetniejszych — zraża: niewątpliwe okrucieństwo i barbarzyństwo rządu madryckiego i jego armii... Pewną pociechę znajdują w wypominaniu okrucieństw stronie przeciwnej. Jest to dla nich pociecha niewątpliwa. Ale bardzo słaba. Czy chcą przyznać, czy nie, faktem jest, że to nie wojska gen. Franco, ale „czerwoni" rozpoczęli akty terroru jeszcze przed 5 laty i że odtąd te akty barbarzyństwa w stosunku do osób i do rzeczy wloką się za nimi, przez następne lata, aż doprowadziły do wybuchu powstania. Zresztą kościoły i muzea pali i niszczy podobno nie gen. Franco. Lecz właśnie wojsko „czerwone".

„EGZEKUCJE" W HISZPANII. — „Osservatore Romano" zwraca uwagę na masowe „egzekucje" dokonywane przez czerwonych barbarzyńców Hiszpanii, głównie na duchowieństwie. I drukuje dokładne dane. Mogłaby z nich z czasem powstać jakaś czerwona księga barbarzyństw popełnianych pod firmą rządu madryckiego... Barbarzyńskie te „egzekucje" czasem dokonywane są na podstawie wyroków „sądu wojennego". Wiemy jednak, co znaczą takie „sądy" podczas wojny domowej. Są one zwyczajnie wywieraniem zemsty przez ludzi mających obrachunki z otoczeniem, a nie wymiarem sprawiedliwości. Najczęściej jednak dokonują się bez żadnego sądu i nie raz nawet bez mandatu rządzącej władzy. Ot, spodoba się „milicji ludowej" w pewnej miejscowości jakiś dom, klasztor, kościół, jako obiekt do zamieszkania, bez pytania kogokolwiek zajmuje go, a właścicieli ośmielających się protestować strzela bez pardonu. W ten sposób wyginęło kilkudziesięciu kapucynów w czerwonej Katalonii. „Osservatore Romano" notuje przy tym taki wypadek: jednego z zakonników chcieli milicjanci zmusić do bluźnierstwa; w odpowiedzi na tę propozycję zaczął odmawiać „Te Deum", aż padł przeszyty kulą... Nieraz „egzekucje" dotyczą t. zw. zakładników. Jest to oryginalny przejaw barbarzyństwa. Polega na tym, że władze czerwone pewnej miejscowości widzą zbliżające się wojska powstańcze aresztują gromadę ludzi podejrzanych o sympatie dla powstańców, więc swoich, nie tylko rodaków, ale i współobywateli, potem powstańców uwiadamiają, że pierwszy akt nieprzyjacielski z ich strony będzie śmiercią dla „zakładników". W ten sposób giną setki i tysiące kobiet i dzieci, a zwłaszcza duchowieństwa... Poza tym giną setki tysiące ludzi bez żadnego powodu.. „Osservatore Romano" kreśli m. in. wstrząsający obraz „egzekucji" kilkudziesięciu zakonników ze zgromadzenia klaretynów z miasta Cervera. Zabrano ich (około 100 księży i braci) bez żadnego powodu i bez żadnego nakazu władzy wsadzono na pociąg; po przejechaniu kilkunastu kilometrów milicjanci zatrzymali pociąg, wyprowadzili swe ofiary na zewnątrz i wystrzelali wszystkich do nogi.

WALKA Z KOMUNIZMEM. Ile w tych barbarzyństwach hiszpańskiego rządu i jego armii jest przyczyn narodowych, a ile zewnętrznych (bolszewickich) wpływów, — trudno ustalić. Pewnym jest tylko to, że — dużą rolę gra także międzynarodowy komunizm i Rosja Sowiecka, jako jego organizator. Nie dziw tedy, że w świecie co raz więcej szans zyskuje myśl stworzenia frontu antykomunistycznego. Pewne sugestie w tym względzie zawierają przemówienia Papieża z ostatnich lat, zwłaszcza miesiecy. Równocześnie Hitler rzucił już całkiem otwarcie tę myśl na kongresie partii narodowo - socjalistycznej w Norymberdze. Z tej zbieżności poczęto w pewnych kołach nawet snuć myśli o porozumieniu między Watykanem a Berlinem w celach walki z komunizmem. Myśli te — przynajmniej na razie — pozbawione są wszelkich podstaw. Dlaczego, — pokaże się ze zrozumienego wystąpienia oficjalnego o[illegible] partii hitlerowskiej, „Völkischer Beobachter", w sprawie wiadomości wiedeńskiej „Reichspost", iż Stolica Apostolska przystępuje do zorga nizowania walki z komunizmem w ramach „Akcji Katolickiej".

„Czyż — pyta dziennik hitlerowski — może być na konferencjach wiedeńskich duszpasterzy inny, bardziej odpowiedni do obrad temat, jak — Hiszpania i bolszewizm? A jednak konferencja biskupów w Fuldzie ma inne troski... Papież obecny nie płacze jak jego poprzednik (Pius X) podczas wojny. Biskupi niemieccy też nie płaczą (z powodu grozy niebezpieczeństwa bolszewickiego). Nie mają na to czasu. Radzą bowiem nad szkołą wyznaniową... Wydawałoby się rzeczą logiczną, by Watykan przejął reguły narodowo - socjalistycznej walki z bolszewizmem. A to w ten sposób, by Kościół katolicki bez zastrzeżeń i dobrowolnie (vorbehaltlos u. willig) stanął za wszystkimi antysemickimi rządami i organizacjami Europy. Tego jednak nie zrobił, natomiast myśli o nowej organizacji. Grozi to chaosem duchowym, a zapowiada nową miedzynarodówkę, od której nie można oczekiwać poważnej obrony narodowych sił... Zapowiedź walki Kościoła katolickiego z bolszewizmem łączy się z zapowiedzią walki z „nowym pogaństwem". Można się tej ostatniej zapowiedzi tylko dziwić. Chwila obecna nie jest właściwym momentem... do podnoszenia sprawy wykładu katechizmu i Biblii".

Z tego wynika, że hitleryzm chciałby Kościół wyzyskać jako polityczne narzędzie do walki z żydami. a i to jeszcze pod warunkiem, że Kościół będzie obojętnie patrzył jak pod firmą antykomunistycznego frontu hitleryzm będzie przemycał swoje neopogańskie zasady i poglądy na człowieka i życie. Musiałoby się w narodowym socjaliźmie wiele zmienić, by katolicyzm mógł z nim razem pójść do walki przeciw komunizmowi.

AGITACJA „STAROKATOLICKA". — Jest komunizm zaprzysięgłym wrogiem religii. — argumentują hitlerowcy. Ale sam hitleryzm równocześnie prowadzi wrogą dla katolicyzmu akcję. Nawet potulna wobec regime'u hitlerowskiego, a ongiś katolicka „Germania", skarży się na wrogie dla Kościoła prądy w hitleryźmie, albo w organizacjach i instytucjach uznanych za pół-oficjalne.

Wiadomo, że w szturmówkach partyjnych, we „Froncie Pracy" p. Leya, uprawia się jawnie propagandę „neopogańskich" zasad. A zaś ostatnio publicznie podjęto w formacjach partyjnych akcję za występowaniem z Kościoła. I to — zdaje się — w odpowiedzi na ostatni list pasterski konferencji biskupów.

„Germania" zwraca uwagę na ożywienie działalności sekty starokatolickiej (założonej w Niemczech w roku 1870 w związku z ogłoszeniem dogmatu nieomylności Papieża w rzeczach wiary i obyczajów przez sobór watykański). Pojawiło się zbiorowe orędzie przywódców tej sekty zwrócone do „katolickich Niemców" pełne inwektyw przeciw organizacji Kościoła i Stolicy Apostolskiej. Założono nawet osobne pismo pod nazwą: „Der romfreie Katholik", które korzystając z jakichś „tajemniczych" funduszów rozchodzi się szeroko i w wielkim nakładzie po Niemczech. Główną a charakterystyczną tezą. której to pismo broni, jest, że z „narodowym ujednostajnieniem", które Hitler przeprowadza, nie godzi się zależność od Rzymu, a tylko „starokatolicki Kościół". Pierwszy „apostoł" tego kierunku, Brombacher, głosi że „jest rzeczą niemożliwą zapewnić swobodę narodowemu pierwiastkowi wewnątrz rzymsko-katolickiego Kościoła".

„Germania" nie pisze, kto stoi za tym nowym ruchem. Wolno się jednak domyślać, że — gorliwi hitlerowcy. I to robi się w tym samym czasie, kiedy się Kościołowi wyrzuca, iż nie chce współpracować z hitlerowską Rzeszą w walce z komunizmem.

Pejot.



O czyn katolicki

W publikowanym biuletynie prasowym „Ecclesia Militans" (Lucerna) znajdujemy na powyższy temat ciekawy artykuł, który podajemy w obszernym streszczeniu.

Prasa katolicka — czytamy tam — notuje w ostatnich tygodniach cały szereg faktów, które zdają się wskazywać, iż wreszcie wobec pożaru gorejącego na jej Zachodzie obudzi się chrześcijańskie sumienie Europy. Zarządzenie modłów za Hiszpanię przez kardynała arcybiskupa wiedeńskiego, a za nim i przez innych biskupów, list pasterski biskupa z St. Gallen, uchwały konferencji episkopatu niemieckiego w Fuldzie, niezmiernie doniosłe oświadczenia biskupów polskich obu obrządków na Jasnej Górze, wreszcie przemówienie papieskie do uchodźców hiszpańskich, wszystko to wskazuje jakoby już ponad rozbitą w wewnętrznych konfliktach Europą powstawał wspólny wszystkim pomost walki obronnej ze wspólnym wrogiem.

Czy to, co się dotąd uczyniło, wystarczy do postawienia tamy lawie komunizmu? Stanowczo nie.

Przeciw gigantycznej potędze, mającej wyraźny i niewzruszony cel, stoi Europa rozbita. Nic nie znaczą częściowe tu i ówdzie notowane sukcesy jedności, które w dodatku przecenia się i stwarza obraz zgoła fałszywy. **Cóż bowiem znaczy, że się jest przeciw komunizmowi, a nie zdaje się sprawy, czego się właściwie chce, jeśli nie uświadomiono sobie, że świat stoi u progu nowych czasów i realizacji nowego porządku społecznego?**

Nie pomoże szkicowanie na papierze katolickich form ustrojowych jeżeli nie będzie się wypełniać najprostszych zasad sprawiedliwości społecznej. Nie pomogą kongresy rozprawiające o chrześcijańskim Zachodzie i jego misji cywilizacyjnej, skoro ten Zachód nie zna drogi do przyszłości a katolicy — nawet w dziedzinach najbardziej zagrożonych — drzemią, trwają w bezczynności i z założonymi rękoma „przezornie" wolą czekać, niż zabrać się do zdecydowanej akcji. W takich warunkach nie można się dziwić, że pozbawiony wszelkiej dynamiki katolicyzm pada ofiarą pierwszego już wystąpienia byle jakiego przeciwnika i nie ma dość siły całą za sobą pociągnąć młodzież a przez to zdobyć dla siebie przyszłość.

Skoro w wielu krajach, gdzie dziesiątkami lat w myśl mądrych wskazań Ojca św. rozbudowano Akcję Katolicką, wystarczy paru miesięcy czy paru nawet tygodni, by gmach jej zburzyć, dowodzi to, że praca dokonana nie była solidną i że nie dość gruntownie zrozumiano intencję Ojca św. Same tylko organizacje religijne nie stanowią o religijności danego kraju. Religijnym staje się kraj, gdy wypełnianą jest przyrodzona sprawiedliwość społeczna. Wtedy życie religijne wpływa skutecznie na życie publiczne, przebudowuje je i przestaje być w Ewangelii wspominaną „miedzią brzęczącą i cymbałem brzmiącym".

Nie ma wytłumaczenia dla gnuśności wielu dzisiejszych katolików, którzy trzymają się możliwie zdala życia państwowego i społecznego lub sądzą, że wielkimi lecz ubogimi treścią gestami zastąpią istotną pracę. Być męczennikiem nie zawsze jest zasługą, jest bowiem i takie męczeństwo, na które się z własnej winy zasłużyło, męczeństwo nieodpowiedzialne i niesławne. Takiego męczeństwa obawiać się należy dla tej katolickiej Europy, która widzi przecież, jak dokonuje się ono już w niektórych jej częściach.

Nie sądźmy, że Kościół jest przytułkiem dla starców, dla bezpłodnych, wyjałowionych i niedołężnych życiowo umysłów, że myślą przewodnią katolicyzmu, któremu służyli św. Paweł, św. Augustyn, św. Ignacy, św. Franciszek, jest dzisiaj cicho i spokojnie własne uprawiać grządki. Światem wstrząsają olbrzymie bóle i bolszewizm jest tylko elementarnym ich przykładem. Samym tylko znakiem Krzyża św. nie odżegnamy się przed potopem już grożącym Europie w rozmiarach nigdy przed tym nieznanych. Znakowi Krzyża św. towarzyszyć musi czyn. Tylko na gruncie czynu katolickiego możliwe jest stworzenie w Europie istotnego frontu przeciw Moskwie, frontu, na który nie złożą się bojaźliwe i niedołężne elementy konserwatyzmu, wyczerpującego swe siły w kongresach i zjazdach związkowych, lecz żądne czynu miliony katolickiej młodzieży.

Tak też należy rozumieć spiżowe iście słowa Najwyższego Pasterza rozlegające się z Rzymu, aby walka z komunizmem nie była tylko obroną pozycyj, lecz łączyła się ze świadomością, iż przez katolicyzm buduje się cywilizację nowej Europy.

Z obcej niwy

Buntująca się młodzież

W paryskim miesięczniku, „Cahiers d'action religieuse et sociale", wydawanym przez zasłużoną „Action Populaire" O. O. Jezuitów, pojawił się manifest młodych katolików, na który warto zwrócić i u nas uwagę.

Mówiło się u nas wiele o przeciwieństwie między „młodymi" i „starymi". To samo zjawisko występuje i gdzie indziej. W Belgii wyładowało się powstaniem nowego i oryginalnego ruchu „rexistów", a który cechuje niezwykły dynamizm, gwałtowność i walka ze „starymi", — można powiedzieć na śmierć i życie w dużej mierze o metodę wcielania katolickiego ideału w życie.

We Francji to samo zjawisko przejawia się inaczej. Nie powstał żaden wielki ruch młodych. Jest zaś kilka mniejszych. Ten, który reprezentują wspomniane „Cahiers", skupia młodzież, która stroni od polityki i jej walk, a czynny udział bierze w ściśle katolickiej i społecznej pracy (wśród robotników i młodzieży). Cechuje ją wielki idealizm, graniczący czasem może z naiwnością. Nie mniej jednak zasługuje na uwagę ze względu na wysoki duchowy poziom, co się uwydatnia także w wydanym przez ten ruch manifeście.

„Jest faktem — piszą ci młodzi katolicy — że się dziś wstydzić musimy, że jesteśmy Francuzami. Nie możemy przeszkodzić w otwieraniu się naszych oczu na to, co się dzieje koło nas. Znamy sądy zagranicy o Francji, o jej rozstroju, o kryzysie jej moralności, o jej walkach wewnętrznych, o przestarzałości jej koncepcyj, o jej obłudzie kryjącej się za wolnością demokratyczną. Pojmujemy, że wielu z nas dało się oczarować mirażem Niemiec, Włoch i Rosji. I czujemy, że to oczarowanie dowodzi naszej słabości. I, że z niego nie wyjdziemy bez powrotu do chrześcijaństwa.

Lecz — gdy o tem mowa — codziennie natrafiamy na trudności, że trzeba myśleć i działać „po katolicku". Trudność polega na tym, że wszędzie wciska się polityka. Partie są wszędzie. A partie pomniejszają nasze chrześcijaństwo posługując się nim. I prasa jest w służbie polityki i jeszcze bardziej pogłębia zło.

Wierzymy, że wszystkie problemy są problemami chrześcijaństwa... Chcemy oczyścić nasze chrześcijaństwo z wszelkich kompromisów. Chcemy go podnieść ponad politykę, ponad nacjonalizmy, ponad systemy: kapitalistyczny i komunistyczny... Chcemy wyjść z bezpłodnego stanowiska: „nie, albowiem"; a zastąpić je przez współpracę konstruktywną: „tak, lecz"...

Nie chcemy być rewolucjonistami w kościele. Chcemy budować przyszłość razem z hierachią i przez nią. Ale w jego organiźmie chcemy realizować pełnię naszej chrześcijańskiej młodości. Chcemy, by nam ufano i by nam pozwolono działać i żyć dla Kościoła i by nas nie skazywano na trwonienie naszej energii w złudnej ruchliwości politycznych manifestacyj.

Jesteśmy, być może, zarozumiałymi. Być może naiwnymi. Być może — jeszcze nie gotowymi. Ale żyjemy w przekonaniu, że trzeba działać natychmiast wpośród duchowej rewolucji, która nas swym wichrem porywa.

Dość mamy czekania na „Mesjasza", kiedy Chrystus jest w nas i koło nas. Dość mamy mentalności „młodych starców", zajętych potępianiem bez końca, kąśliwymi krytykami i proroctwami, które są zawsze pesymistyczne.

Dość mamy formuł obcych, które się nam narzuca. Nie chcemy ani czerwonego, ani białego, ani niebieskiego faszyzmu. Chcemy za wszelką cenę chrześcijaństwa i niczego więcej. Jesteśmy gotowi życie nasze oddać za wolności chrześcijańskie i za pełny rozwój naszego katolickiego obyczaju w miłości. Lecz, zdaje się, że czas przyszedł nie na słowa, tylko na czyny. Znudziły się nam słowa i konferencje.

Powiedzą nam: — Zaufajcie swoim kierownikom i nauczcie się słuchać... Być może! Lecz chcemy kierowników młodych, by nam zaufanie przyszło łatwiej.

Powiedzą nam: — Chcecie gorąco czegoś, ale nie wiecie dokładnie, czego... Odpowiadamy: — Nie chcemy być tymi „mądrymi" dziećmi, które się posyła spać gdy rodzice przyjmują gości.

Nie chcemy grać roli straszliwych rewolucjonistów, którzy myślą o szkodzie Kościoła. Chcemy natomiast, by nam pozwolono ponosić odpowiedzialność katolicką, by nam pozwolono organizować katolicką energię francuską poza wszelką polityką, by nam pozwolono żyć i promieniować, w słońcu Bożem, niewyczerpane bogactwa naszego chrześcijaństwa".